Rok IV.

Nr. 20. Nr. 20.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 16 maja 1874.

Ulica Wodna Nr. 15.

O paleniu zmarłych zamiast pogrzebu.

(Ze stanowiska naukowego).

(Ciąg dalszy).

IV.

Zanim przejdziemy daléj do oceniania tych stósowności, zwrócimy się jeszcze przeciw jednemu z najgłówniejszych zarzutów, jakie w naszém społeczeństwie czynią sposobowi palenia ciał zmarłych, t. j. że ten sposób „podkopuje chrześcijanizm i wszelką religję“, jak to n. p. „Gazeta Narodowa“ w Nr. 104 t. r. orzeka, przytaczając ustęp z Kroniki rodzinnéj, zaczynający się od słów: „Głos to pogańskiego świata“ i tam daléj.

Znowu tu trafiamy na zasadę — że: człowiek myśli za pomocą wyrazów. Jakie kto nadaje znaczenie jakiemu nie bądź wyrazowi, takie też muszą być i myśli szeregi, które ów wyraz w duszy naszéj budzi. Znaczenie to zawisło od stopnia wykształcenia tego, który tego wyrazu używa. W naszym narodzie, gdzie niestety języka ojczystego nie uczymy się w szkołach, ale w domu — od matek, — język staje się raczéj macierzystym, — nie ojczystym. Ztąd zawiłe zwykle pojęcia przyczepiają się u nas do wyrazów, pojęcia zawisłe od pojęć matki, sług domowych, xięży mniéj wykształconych lub zwykle niedouczonych nauczycielów prywatnych. W mowie macierzystéj — powiedzieć można — każdy wyraz ma nieco inne znaczenie, niżeli w ojczystéj mowie, — gdzie słowniki znaczenie jego jasno wytykają i ograniczają, a gramatyki objaśniają jego ducha. W macierzystéj mowie ile osób — tyle różnych odcieni znaczenia ma jeden i ten sam wyraz — i prawie niemożliwém jest je właściwie uchwycić. Wyraz n. p. religja przyjmuje znaczenia wszystkich nietylko blizkoznacznych, ale i pokrewnych pojęć. Znamy takich, dla których jest wszystko religją, co lada xiądz lub organista czy kościelny powie, — dla których nie ma religji oprócz katolicyzmu rzymskiego, — dla których wiara, pobożność, nabożność, wszelka czynność kościelna i Bóg wie nie co — są wyobrażone przez ten wyraz: religja.

Żeby tedy jasno się zrozumieć — czy „podkopuje wszelką religję“ — a mianowicie religję rzymsko-katolicką zwyczaj palenia ciał, rozpatrzmy się w znaczeniu tego wyrazu.

W ojczystym języku wyraz religja ma podwójne znaczenie: 1) oznacza uczucie bojaźni i czci w obec Boga, poczucie właściwe ludziom pewnego stosunku ich samowiedzy do Jego bozkości i pewien duchowy kierunek myśli i uczuć ku swemu Stwórcy. I to jest właściwe, główne znaczenie wyrazu religja. 2) szczególowiéj oznacza pewne formy religijne, które wypływają z pojęcia o Bogu. To pojęcie jest albo naturalne, natenczas nazywa się „religją rozumu“, i ta polega na uznaniu Boga, w skutek zapatrywań się na naturę świata i na naturę ludzką; — albo jest pojęciem o Bogu objawioném, natenczas religja nazywa się „pozytywną.“ Ta religja polega na uznaniu Boga: w skutek bezpośredniéj wiedzy płynącéj od Stwórcy samego, w sposób cudowny, nadzwyczajny. Takiemi religjami są: religja żydowska, chrześcijańskie, mahometańska i inne. Te nauki ujęli ludzie w pewne niezmienne dogmata, t. j. prawdy, na których udowodnienie trzeba dopiero szukać dowodów, gdy w religji naturalnéj odwrotnie szuka się prawdy na mocy konów (faktów), które służą za dowody już gotowe i znane przed prawdą. W religjach objawionych wierzy się w Boga, bo tak wierzyć każą dogmata, pisma święte, kapłani, wyrocznie i t. d., w religji naturalnéj wierzy się w Boga z własnego przekonania.

Że palenie ciał zmarłych tak jak i grzebanie onychże nie podkopuje w niczém religji, w znaczeniu czci i bo-

jaźni Boga, to przyzna każdy; że i w religji naturalnéj żadnéj zasady podwalinowéj nie nadweręży — i to jasném; mogłoby się to tylko zdarzyć w religjach objawionych. To najlepiéj powiedzieć mogą teologowie. Bramini palą ciała i to ich religji objawionéj widać nie podkopuje, więc twierdzenie „Gazety Narodowéj“ tym jednym konem (faktem) się znosi. Że przystać mogą na palenie ciał i rabini — z tego wnioskować można, — iż w Piśmie świętem są stanowcze wzmianki o obrządku palenia ciał u żydów*); że religji katolickiéj nie „podkopało“ palenie heretyków, czarownic, czarnoxiężników i innych katolików — i temu nie zaprzeczy „Gazeta Narodowa.“ Miałożby podkopać chrześcijaństwo palenie ciał zmarłych mniéj więcéj tak dobrych jak dzisiajsi katolików?... W téj mierze odwołujemy się do teologów; — dla nas wystarczają kony przytoczone — że „nie podkopuje (palenie ciał zmarłych) ani wszelkich religji, ani chrześcijaństwa nawet. Miałożby podkopać katolicyżm?...

Pomijając stanowiska polityczne, religijne, administracyjne, a trzymając się wyłącznie naukowego: gospodarstwa krajowego (ekonomji politycznéj), hygjeny publicznéj, chemji i fizyki, zwrócimy tylko uwagę na ten jeden punkt: że lubo dziś może dla xięży katolickich nie ma formułek rytuałowych przy paleniu ciał zmarłych, — to nie byłoby tak trudném kościołowi rzymsko-katolickiemu powszechnemu, — który przeto i braminów religje w swe łono wcielić kiedyś może i ma zamiary, — ażeby ułożył te formułki i cały rytuał ceremonjału religijnego przy tych okolicznościach. Nie idzie nam bynajmniéj o pozbawienie intraty kapłanów, xięży, rabinów, pastorów i t. d. w okół nich zkupionéj przeliczněj a tak chciwéj na zyski z trupów: szajki grabarskiéj, uorganizowanéj wo Francji, Anglji i Niemczech jak najwyborniéj i na wszelkie ceny. Nie! niechże sobie pozostanie ta spekulacja, jak wszystkie inne, lubo onéj ohydna rzesza, każdego, który tylko miał ukochaną osobę do pogrzebania, do rozpaczy przyprowadzała. Ona to najwięcéj krzyczeć i lamentować będzie, gdy przyjdzie do przejinaczenia tego religijnego obrzędu — z obawy: ażeby nie utracili tyle lukratywnego zysku. Oni to najgłośniéj wrzeszczeć będą na „podkopanie wszelkich religji“, na „głosy z pogańskiego świata“, bijąc właśnie jak w taraban: w najszlachetniejsze może, w najbezinteresowniejsze uczucie: „boleści po utracie drogich w życiu osób.“ Wrzeszczeć będą w imię religji, moralności, uczucia piękna, sztuki, dobra, Boga i piekła, ażeby mogli sprzedawać daléj jak dziś — swe grobowe wieńce i trumny, wypożyczać swe liberje, karawany, swe bluźniące wszystkiemu co święte służalstwo i żebractwo!... Ależ niech się nie płoszą, — czy będą późniéj palili, czy rozpuszczali w płynach chemijnie, czy ulatniali elektrycznością, czy innym sposobem zmarłych, — to się bez pewnych ceremonji kościelnych nie obędzie, to się bez kapłanów nie stanie i plugastwo to zawsze na téj świętéj roli znajdzie dla siebie sposób wyzyskiwania pieniężnego.

Dogmatów religijnych żadna z objawionych religji dla tych zmian w rytuałach kościelnych nie zmieni: obyczaje zachowają się tak jak dotąd przez wieki.

---

*) „Wstali wszyscy mężowie mocni, i szli przez onę całą noc, i wzięli ciało Saulowe i ciała synów jego z muru Betsan, a przyszedłszy do labes spalili je tam.“ Samuel. x. I.

„W pokoju umrzesz; a jako wonne rzeczy palono ojcom twoim, królom przeszłym, którzy byli przed tobą, tak palić będą i tobie, a płakać cię będą, mówiąc: Ach, panie! Bom Ja to słowo rzekł, mówi Pan.“ Jerem. pror.

„A gdy dzień po dniu następował, a czas dwu lat wychodził, wypłynęły wnętrzności jego z boleścią, i umarł w niemocach ciężkich; a nie uczynił mu lud jego przy pogrzebie zapału, jako czyniwali zapał ojcom jego. Kroniki II.

A jeżeli dziś są powody materjalne, brudne polityczne czy cywilne, które może przyspieszają chwilę tego przewrotu nie w oddaniu czci umarłym, — ale w odmianie postępowania sobie z usuwaniem z grona żywych — ciał zmarłych, — to zawsze będzie większość takich, co z popędu najszlachetniejszych uczuć poprą usiłowania palenia, lub rozpuszczania trupów ludzkich jako zgodne z interesem tak duchowym jak i cielesnym żywych. Że za tymi ludźmi światłymi i szlachetnymi pójdzie i większość szlachetnych lecz uprzedzonych — o tém ani na chwilę nie wątpimy.

V.

„Życie — jest walką siły ustrojowéj z materją, czyli duszy z ciałem. Równowagą w téj walce jest — zdrowie. Przewaga ducha nad ciałem — jest chorobą umysłową, — przewaga ciała nad duchem chorobą cielesną, — a zwycięztwo zupełne ciała nad duchem — nazywamy śmiercią.“ Jeżeli nas pamięć nie myli, temi słowy Schoenlein rozpoczynał swój kurs lekarstwa*).

Gdy więc dusza ustępuje z pola walki z materją, to w miarę tego ustępywania następuje: śmierć, t. j. że materja z ciała ustrojowego, dotąd błoną (skórą) odcięta od reszty materji, wracać zaczyna do reszty materji i podlegać zwykłym prawom chemijnych i fizycznym. Tych praw porządkiem jest: że złożone ciała rozkładają się w pojedyńcze swe pierwiastki. Nasze ludzkie ciało ostatecznie rozłoży się na: wodę, kwas węglowy, gaz węglowodorowy, gaz amonjakalny, na wapno, magnezję, potaż, sodę, rdzę żelazną, fosforowy kwas, a zatém na: gazy, wodę i popiół. Wody i gazów w ciele ludzkiém jest około trzy czwarte części wagi, a jedną czwartą część wagi ciał stałych, t. j. mięsa i kości.

Z ciała zmarłego pozostawionego samemu sobie, wszystka woda jako i gazy, czyli części lotne, uchodzą w powietrze, a części nielotne staną się — prochem, popiołem, — który wraca do ziemi, zkąd w różnych czasach w pokarmach był wzięty. Te części ziemne, które dusza w około siebie zgromadza i z nich dla siebie powłokę urządza, stawają się po jéj odlocie tém, czém były. Z klatki téj opustoszałéj — czy trzymającéj się jeszcze kupy jako ustrój (trup), czy z biegiem czasu w proch rozpadłéj, — ostatecznie znowu inne ludzkie dusze — na ten sam sposób wybierają materjał bądto bezpośrednio z powietrza, bądto z wodą, bąć z innych ustrojów roślinnych i zwierzęcych, — i z tego materjału człowiek najmniejszéj cząstki ani zniweczyć nie może, ani ona na ziemi, na pozór rozproszona, nie ginie! Z tego względu więc jak dusza tak i ciało jest nieśmiertelném! W gospodarstwie Bożém ta gospodarność, to wieczne przeistaczanie się ciał w inne ciała, to przechowywanie nawet najdrobniejszych cząsteczek niedostrzegalnych oku ludzkiemu i piecz o nie — nauki chemji i fizyki jak najoczewiściéj wyśledziły i wykazały; dziwnie stwierdzają nam tę niepojętą dla nas wszechprzezorność Stwórcy, — popierając wiarę w to: że bez Jego wiedzy i woli — włos z głowy spaść nam nie może! A człowiek wiedziony szlachetną myślą uczczenia szczątek osób drogich jego sercu — troszczy się o to, ażeby mu się nie uroniły i szuka sposobów, jakby te powłoki dusz najdoskonaléj zachował. W tych wysileniach atoli, jak i we wszystkich innych — jakżeż się namacalnie okazują jego nieudolność i niemoc. Zamyka je w szczelne trumny kruszczowe, przejistacza je

---

*) Lekarstwo, medycyna (ars medica) sztuka leczenia (podobnie jak malarstwo, rzeźbiarstwo, kucharstwo i t. p.); lek, leki (medicamentum). Sprzecznie z duchem języka nieświadomi używają pospolicie zamiast mówić lek, leki — wyrazu lekarstwo, a opierają się na: zwyczaju; tém samém prawem, jak lud warszawski, który się téż przyzwyczajił: chodzić bez most — przez czapki (usus tyranus).

w mumje, w balsamowanie ciała, nastrzykując w żyły arszenik i rtęć, — żeby je w całości utrzymać, stawia je w święcone ołtarze, w pyramidy i kościoły, a one — wbrew temu wszystkiemu — przechodzą w nowe kształty i nowe życie!... I sprawdza się co wyrzeczono o naszém ciele: „Z prochuś powstał i w proch się znowu obrócisz!“

Czemu nie usłuchać tego Bozkiego prawa?

Czy to się sprzeciwia religji? — czy to „głos pogańskiego świata?“ — Nie! to głos świata materjalizmu, — głos niewiary w prawa Boga, — głos zarozumiałości ludzkiéj lub nędznego interesu pieniężnego, a co najmniéj to głos przesądu! Choćby przemieniono ciało ludzkie w skamieniałość, to i ta z czasem rozkruszyć się musi! — „Z prochuś powstał — i w proch się obrócisz!“ To jest prawdą i w naukach — i w kościele katolickim nawet!

Czemu nie usłuchać tego Bozkiego prawa? — zwłaszcza, że sposób obecny grzebania zmarłych powinien i musi być zarzuconym. Niech go zastąpi czy palenie zwłok, czy rozpuszczanie ich w płynach, czy balsamowanie w sposób p. Prefontaine, który je w kamień obraca, — to może być obojętném, — byle nie grzebać jak dotąd! Mniejsza o to, że tyle a tyle mórg ziemi ubywa pod cmentarze — i że z nich nie czyni się źródła bogactwa krajowego! Niech i większa część jeszcze ziemi stawa się ogrodami publicznemi, — ale nie cmętarzami — takiemi jakie są nasze dzisiajsze i dotychczasowe!

Czyś zajrzał kiedy w grób, w którym gnije osoba którąś może ubóztwiał?... Sama myśl się wzdryga na opisanie tego wrażenia, jakie sprawia widok gnijącego trupa w ziemi. Mniejsza o to — że to wzrok razi; mniejsza o to, że węch zmusza nas do wstrzymania oddechu; mniejsza nawet o rozpacz jaka nas ogarnia widząc tyle ukochaną za życia osobę — ohydniejszą nad wszystkie pojęcia o upiorach; ale z czysto chrześcijańskiego stanowiska, ze zasady miłości bliźniego, ani kościół, ani rządy ucywilizowanych krajów ścierpieć tego nie powinny, ażeby dziś — gdy światło nauki wskazało niebezpieczeństwa i niedogodności tego sposobu chowania zmarłych, — jakiego dotąd zwłaszcza w ludniejszych miastach używamy, t. j. zakopywania trupów w wspólnych grobach, otwartych przez dłuższy czas, aż dopóki się nie nagromadzi dosyć trupów — ażeby dół zapełnić. Kto raz tylko postał nogą z ludzi cokolwiek uczuciowych przy operacji chowania biednych pod Neapolem, w Paryżu lub Londynie, — kto raz przeszedł się przez miejsca, gdzie n. p. po bitwie schowano poległych, o ten zaprawdę wyrzekłby się i najświętszych dogmatów jakiéj nie bądź religji, — któreby zakazywały grzebania umarłych.

Zwracamy tu uwagę czytelnika, że nam nie idzie o praktyczne zastósowanie palenia ciał zmarłych, bo o tém później pomówimy. Nie ma chwilowo nadzieji, ażeby to tak łatwo dało się w praktykę wprowadzić, owszém wykażemy dowodnie, że dziś jeszcze nie jesteśmy tak blizcy możliwości wykonania tego sposobu, — lecz ze stanowiska naukowego nam nie idzie tyle o zastósowanie, ile o zasady. Postaramy się udowodnić, — że sposób palenia trupów, czy rozpuszczania ich, czy zakamieniania środkami chemijnemi — jest stósowniejszym, więcéj odpowiada estetyce i etyce, a nie jest bynajmniéj czystym wymysłem materjalizmu i polityki dla pozbawiania xięży ich zarobku i wpływu, ale że zgadza się zupełnie i z idealizmem i z naukowością, a zatém jest, był i będzie zwyczajem pięknym i dobrym, — nie żadném bluźnierstwem lub „podkopywaniem zasad wszelkiéj religji“ i „głosem pogańskiego świata.“

Naukowości chodzi o istotę samą rzeczy — jak praktyce o jéj zastósowanie. Rozdrażnienie jakie powstaje przeciw sposobowi palenia ciał — jest przesądem — a my wszelkim przesądom wytaczamy walkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na jeziorze.

L'homme n'a point de port, le temps n'a point de rive,
Il coule, et nous passons! Lamartine.

Otulona w błogą wiosny ciszę
Na przejrzystym modrych wód krysztale,
Łódź samotna w dali się kołysze
Lekko prując zadumane fale,
A wśród łodzi rozmarzonych dwoje,
Budzi w sercu złotych uczuć roje!

„O tak gdyby były życia fale,
Jak te wody spokojne i jasne,
Gdyby płynąć można po krysztale
Omijając burze losu straszne,
I ująwszy ukochane dłonie
Sunąć cicho przez niebieskie tonie!...

Gdyby można zapomniawszy ziemi
Wznieść się duchem do krain świetlistych,
Albo szukać oczami tęsknemi
Na dnie fali pereł przezroczystych,
A znalazłszy perłę drogocenną,
Ukryć w sercu cichą i promienną!“

Młode dusze tak cudnie marzyły
Po niebieskiéj płynąc wód przestrzeni,
Serca — kwiaty uczuć połączyły
Oplatając je wiankami swemi,
Jak łabędzie białe, rozmarzone,
Nie pytają w którą dążą stronę!

Dzisiaj życia nie straszy ich ciemność
Ani burza co łodzie druzgota,
Bo w ich sercu przeczystą promienność
Roztoczyła uczuć gwiazda złota.
I uroczém światłem w duszy płonie,
Jak blask słońca na wód modrych łonie!

Ale wichry mącą życia fale,
I pochłania świetne perły głębia,
I gorące uczucia korale,
Rozczarowań chłód wkrótce wyziębia....
Tylko szydzi mara wspomnień blada,
Gdy spokoju noc zwolna zapada!

Szybko minął poranek majowy,
Żar słoneczny krople rosy pije,
Wykradając zwolna blask tęczowy,
Skwarném światłem na skroń młodych bije.
A gdy parne nadejdzie południe,
Nie tak marzyć jak porankiem cudnie!

I pospiesznie łódź brzegu dobiła.
Przerywając nić złocistych marzeń,
Z niéj dziewica pierwsza wyskoczyła;
Zaczerpnąwszy roje cudnych wrażeń,
Pożegnawszy łódź na modréj fali..
Swoją drogą każde posało daléj!

W czerwcu 73 r. **Uriela.**

Opieka i Opiekunowie.

Powieść

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

— Panie Stefanie! wymówiła przycicho — cóż stało się panu?

— Pani chcesz wiedzieć koniecznie? zadrgnęły rysy jego bólem i jakby z ironją lekką.

— Przez miłosierdzie Boże, powiedz pan! załamała dłonie i wzniosła oczy błagalnie ku niemu.

— Pani chcesz wiedzieć? powtórzył głosem stłumionym, spuszczając powieki.

— Błagam! wołam, przez litość, powiedz! — drżała jak listek — jest w tém coś strasznego!

— Boleść! poszepnął.

— Ale cóż? cóż? powtórzyła z wysileniem.

— Pani nie odgadłaś! Nie odgadujesz! Nie chcesz odgadnąć! skrzywiły się usta jego znowu z gorżką ironją. — Miałem jednakże nadzieję... wyczytałem ją w oku pani! W wyrazie niejednym!... Wreszcie w głosie pani!.. Nie śmiałem jednakże przemówić... czekałem... I pani niby to nie odgadujesz, że serce moje, całe szczęście, uczucie każde pod twoje rzuciłem stopy... a pani przyjęłaś oświadczenie lorda Ponsonby! jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

— Nigdy! nigdy! zawołała z odbrzmieniem radosnego na dnie duszy wzruszenia, gdy lica jéj zapłonęły szkarłatem.

— Nigdy? powtórzył, założywszy ręce na krzyż przez piersi.

— Nigdy za niego nie pójdę!... I za nikogo! dodała ciszéj.

— Odmówiłaś! zawołał z okiem promieniejącém. — Powiedz, czy odmówiłaś stanowczo? wyciągnął złożone ku niéj dłonie.

— Odmówiłam stanowczo, bez namysłu jednéj chwili!

— Nie oddasz bogaczowi ręki bez serca?

— Gdybym i umrzeć miała!

— Och pani! Cecyljo!... A jakie powiesz mi słówko? błagalnym, przycichym wymówił głosem i pochylił się przed nią. — Przez litość, powiedz! Ja cierpię! załamał dłonie.

— Masz moje serce... — odszepnęła zaledwo dosłyszalnie — i niczyją inną nie będę! dodała głośniéj.

— O moja! moja jedyna! wybuchło tłumioném uczuciem z piersi młodego. Upadł na kolano i przycisnął do ust jéj ręce złożone.

Potém usiedli na blizkiéj kanapce. Cecylja opowiedziała mu co zaszło, więcéj aniżeli w liście do Róży napisała. Teraz już miała z kim pomówić i wyspowiadać wszystko — szczęśliwa!

Po długiéj chwili nadeszła pani Dorażeńska, nakarmiwszy chłopięta swoje. Cecylja pobiegła ku niéj — i w jéj rzuciła się objęcie. Stefana oczy szczęściem błyszczały — a zwykle przyblade lica płonęły.

— Co to? zapytała pani domu z uśmiechem, domyślając się co zaszło.

Cecylja uniosła główkę — twarzyczkę zróżowioną — i z najwdzięczniejszym uśmiechem, wskazując Stefana, wyrzekła:

— Mój narzeczony!

— Cesiu! Stefku! Bóg z wami!... Boże daj szczęście! wymówiła zacna kobieta, składając dłonie.

— Byłem w rozpaczy, szalałem — wyrzekł Stefan po chwili — bo mi na mieście mówiono, że lord Ponsonby oświadczył się i przyjętym został.

— Jabym téj pogłosce nie była wierzyła! zawołała pani Dorażeńska.

— Otóż, panie Stefanie! zwróciła się Cecylja ku niemu — powinnam była urazić się zaprawdę, żeś uwierzył w to, co uczuciom moim niewieścim ubliża! żeś lepszéj we mnie nie pokładał wiary! Pani Dorażeńska nie byłaby uwierzyła!

— Bo jéj serce, które przyjaźń zapełnia, nie szaleje! Bo przyjaźń nie zna zazdrości!... Wybacz pani! Wybacz! — kornie pochylił się przed nią. — Nie byłem pewien twojego serca, a miłość prawdziwa, święta, ale i gwałtownie każdém miotająca uczuciem łatwo z bólem łączy się zazdrości... który, spotęgowany, nawet i przytomność odbiera.

— Miłość prawdziwa zawsze łączy się z wiarą! — poszepnęła znowu młoda dziewczyna.

— Serce niewieście świętsze żywi uczucia i wiarę czystszą — odrzekł Stefan — gdy mężczyzną rządzi namiętność, ślepa niekiedy, i każde ogarnia wrażenie.

— To więc my z wiarą naszą szczęśliwsze jesteśmy! uśmiechnęła się wdzięcznie.

— Anielskie więcéj! zawołał Stefan z zapałem, przyciskując do ust jéj rączki obiedwie.

— Ale, Cesiu — zagadała po chwili pani Dorażeńska, myślą sięgająca daléj, aniżeli to czynili młodzi, a tak szczęśliwi w téj chwili — cóż twoi powiedzą rodzice?

— Mam tylko matkę — odrzekła Cecylja spokojnie — a matka szczęściu mojemu oprzeć się nie może.

— A ojczym?

— Ojczym?... — dziwny wyraz wybiegł na lica Cecylji — ojczym... nie jest mi niczém — dodała zcicha.

Ta odpowiedź jasno świadczyła, że zwolna, we własném wnętrzu, instynktowo z początku, a potém i z przekonania, zcicha, nic nie mówiąc nikomu, poczęła Cecylja pana Węgielewskiego poznawać lepiéj.

— A opiekunowie? wtrąciła znowu krewna Stefana.

— Opiekunowie mają być ludzie poczciwi i szlachetni. Dotąd wszelako żadnego a żadnego nie wywarli wpływu. A powinni raczéj pragnąć, bym za zacnego poszła Polaka, a nie za cudzoziemca, choćby prawego męża i bogacza zarazem.

— Ale gdyby!... Gdyby się sprzeciwiano? ozwał się Stefan nagłą przejęty trwogą.

— To oprę się im stanowczo! zawołała Cecylja z wyrazem woli niepodległéj, unosząc czoło. — Opiekunowie nie dawali prawie dotąd znaku życia — uśmiechnęła się — opieka ich spała, to i pocóżby się teraz i w ten sposób zbudzić miała? Mama... matka moja słaba — dodała z żałosnym oddźwiękiem w głosie i zpochmurzała nagle — matka moja trzyma mnie rok ósmy zdala od siebie. Nie znam domu mojego... nie znam kraju... odebrali mi wszystko pod tym względem! Byłabym pewnie i po polsku mówić zapomniała, gdyby to było zależało od nich, gdyby opatrzności nad sierotą nie było! — Ojczym!... Ojczyma nazywałam... papą i kochałam go — wymówiła ostatnie wyrazy z przyciskiem, co oznaczało wyraziście, że teraz tak już nie jest. — Zresztą przecież ojczym i prawa nademną nie ma żadnego! — Pani de St. Gilles niby to tutaj zastępuje mi matkę, ale mało dba o mnie, mało wie

o mnie, co i szczęściem dla siebie być mienię... bo mnie nie zatruła, o dzięki Bogu!

Młode dziewczę przejrzało i zrozumiało ponad wiek swój niemal wszystko — może przez wrodzony instynkt niewieści.

— Baronowa napisała do mamy — ciągnęła daléj — przedstawiając jéj los wielki, świetny, znaczenie i bogactwo w osobie lorda Ponsonby. Zapragną pewnie wydać mnie za niego, nie pytając o serce moje; zechcieliby może popchnąć mnie w kraj obcy, zdala od miejsc rodzinnych... i wynaturzyć mnie zupełnie!... To i cóżby na to mój cnotliwy powiedział ojciec? Mogłażbym się wyrzec wszystkiego, co mi świętem być powinno?... Och nie! Mam wolę swoją i winnam sobie własną stworzyć przyszłość, skoro mi jéj opieka nie daje. — Ojcze! złożyła dłonie i wymówiła głosem, w którym łzy drżały — ojcze, ty mnie wesprzyj i pobłogosław mi!

Stefan z uwielbieniem, z zachwytem patrzył na nią w milczeniu — przykląkł i rączkę jéj znowu do ust przycisnął.

* *
*

Gdy wieczorem w swoim stanęła pokoju, pobiegła do szafy, która zawierała jéj skarby książkowe; objęła ją i z głębi duszy poszepnęła: „Wy dałyście mi światło i zbawienie!... O przyjacielu mojego ojca, bądź błogosławionym!“ — Potém uklękła przed obrazem Matki Boskiéj Częstochowskiéj — a był to także dar Solińskiego — i modliła się długo a gorąco.

Nazajutrz napisała do matki, wyznając jéj uczucia swoje dla Stefana — prosząc o jéj przyzwolenie i błogosławieństwo. Stefan napisał również do pani Węgielewskiéj list pełen uszanowania i cześci. Napisał do pana Węgielewskiego oddzielnie, ze wszelkiemi przyjętemi formami — i załączył listy do opiekunów Cecylji, w których skreślił swoje curriculum vitae, załączył dowody i t. d.

Cecylja do pana Solińskiego.

Bruxela 9 marca 1869.

„Najszanowniejszy Przyjacielu!

Zaszła chwila stanowcza w życiu mojém — i spieszę, drogi mój Panie, z prośbą, byś mi na przyszłą dolę sercem ojca dał błogosławieństwo.

Wspomniałam już w listach poprzednich po razy parę o panu Stefanie Żarczyńskim, z uznaniem dla charakteru jego, honorowości i najzacniejszych przymiotów. Poznaliśmy się bliżéj. Pozyskałam jego serce — i oddałam mu swoje. Szczęście jedynie przy nim tylko znaleść mogę.

Napisaliśmy do matki mojéj — do opiekunów i do ojczyma. — Pan Stefan złożył im dowody wszelkie rodzinnych i majątkowych stósunków — jako też i przeszłości całéj.

Sądzę, że nic przeciwko wyborowi mieć nie będą.

Ze czcią najwyższą

Cecylja.“

VII.

Dnia jednego z rana oznajmiła Cecylji jéj panna służąca Gudula, że jakiś pan polski chce widzieć się z nią. Zmięszała się nieco, sądząc, że to pewnie który z opiekunów — udała się pospiesznie do salonu i zastała pana Wincentego Nawrocińskiego.

— Och, witam pana! zawołała z uczuciem radosném; boć to przecie zacny był człowiek, a przyjaciel pana Solińskiego — i obiedwie ku niemu wyciągnęła ręce, ściskając dłoń jego serdecznie.

— Pani spodziewałaś się zapewne kogo innego, a nie mnie? zapytał.

— Wyznaję... myślałam, że to który z opiekunów moich.

— O!! — wyraz ironji przebiegł po licu prawnika — poczciwy pan Mateusz cierpi na rumatyzm; kochany pan Andrzéj ma jakieś domowe sprawy do załatwienia. Ojczym-papa wyjechać nie może, bo braciszek pani, Ździś, chory na szkarlatynę...

— O mój Boże! porwała się zaniepokojona — to mama zapewne zmartwioną jest bardzo?

— Nadzwyczajnie! Ojczym-papa — przygryzł usta pan Wincenty — miał sam do Paryża pojechać w skutek listu Adolfa, ale mama teraz puścić go nie chce. Zatém j a, wyręczając wszystkich, jadę do Paryża z instrukcjami panów opiekunów. A mama pani poleciła mi, bym po drodze o Bruxelę zawadził. Późniéj pan Idzi nadjedzie, a może i z mamą, gdy szkarlatyna przeminie szczęśliwie. Mam listy od mamy i p a p y — wyraz ten pan Nawrociński zawsze dziwnie brzmiącym wymówił tonem. — Mam także listy i do pani baronowéj.

— Pan pozwolisz? Cecylja rozłamała pieczątkę.

— Przeczytaj pani, a potém o ich pomówimy treści — stanął przy stoliku i jakiś przeglądał Keepsack.

Cecylja czytała. Pobladła jak cień — i można było uderzenia jéj serca dosłyszeć. Potém krew odcieniem purpurowym wybiegła jéj na lica — i znowu pobladła.

— A! jękła składając welin.

— Prawnik zbliżył się do niéj.

— Wyrazem dotkliwéj pogardy odmawiają ręki mojéj panu Stefanowi — wymówiła drżąc cała — ubliżają mu... obrażają go... że i słów tych niepodobna powtórzyć. Mam serce na wskroś rozranione... Jest zapewne i list do niego? zapytała nagle.

— Nie przezemnie, lecz miano wyprawić go pocztą.

— Któż?

— Mama i papa w imieniu opiekunów.

— Boże mój! załamała ręce — rzucą mu w oczy obrazę... wyrazy niegodne, jakie list do mnie zawiera. Ojczym pisze mi to wyraźnie... Może list ten już odebrał! porwała się bolesną przeszyta trwogą.

— Czy madame la baronne zna stósunek pani z panem Stefanem Żarczyńskim?

— Nie zna. Nic o nim nie wie, a ja nie miałam obowiązku mówić jéj o tém; ona mnie odpycha swojém postępowaniem — i całe zaufanie zniszczyła. Mało i widziała pana Stefana, bo on zajętym jest dużo. Wreszcie, opieka pani de St. Gilles nademną zawsze była opieszałą; zaniedbywała mnie, własnéj pozostawiając rozrywce... i woli. Byłabym się pod taką opieką i matkowaniem mogła pokierować szkodliwie bardzo...

— Na zupełną emancypantkę — zaśmiał się Nawrociński — rozumiem! — Pani de St. Gilles polecono szczególniéj, ażeby lorda natchnęła nadzieją, a panią usposobiła do przyjęcia jego ręki.

— Nie nastąpi to nigdy!

— Ojczym pani przybędzie, skoro Ździś wyjdzie z choroby, i zamierza interes ten doprowadzić do skutku.

— Jakto?

— Chce zmusić panią — wymówił przez zęby — ażebyś koniecznie żoną Anglika została.

— Nigdy! wyrzekła Cecylja stanowczo.

— Rozumie się, że on wszelkich użyje środków, ażeby panią odwieść od szalonego zamiaru połączenia losów swoich z losem pana Stefana Żarczyńskiego.

— Listy matki i ojczyma mają go upokorzyć! zawołała blednąc — zranić go dotkliwie... zranić jego uczucie honoru... i dumę szlachetną pognębić!

— Nieinaczéj!

— Och, pojmuję! zacisnęła dłonie z gorżką boleścią — odgaduję, przeczuwam... i to najwięcéj mnie boli! wybuchnęła płaczem.

— Uspokój się pani! Zaradzimy złemu! prawnik patrzał się na nią z współczuciem.

— Muszę go widzieć! Muszę widzieć go zaraz! — łzy otarła i porwała się z krzesła. — Stefan obrazy nie zniesie! To i jakież mogą być następstwa i skutki?... Może krwawe!... dodała zcicha.

— Pani de St. Gilles będzie pani przeszkadzała we wszystkiém i wywrze nacisk, do którego upoważnia ją matka.

— Boże! Cóż począć? Poradź panie! — złożyła dłonie błagalnie i ugięły się pod nią kolana.

— Uspokój się pani! podniósł ją i posadził na krześle. — Nie poddawaj się zbytecznemu żalowi i trwodze.

— Ratuj mnie, dobry mój panie! Poucz! Ratuj przez przyjaźń dla pana Solińskiego! Przez wspomnienie na mojego ojca!... Och, jakam-że ja sierota! — załamała ręce z rozpaczą.

— Nie jesteś sierotą, bo masz serdecznych przyjaciół. Ale winnaś i sama energicznie swojego bronić szczęścia. O panu Stefanie powziąłem wiadomość po drodze, a poprzednio już w kraju: zasługuje on na szacunek wszelki i na szczere współczucie — zasługuje na szczęście być wybranym przez panią.

— O, dzięki! zawołała z wyrazem szczęścia, gdy łzy świeże z jéj płynęły oczów, ale teraz łzy przeczystéj wdzięczności — on jest tak prawym, tak szlachetnym, a miłuje nauki i pracę.

— Dla tego też stawam gorliwie przy pani i przy nim. Do matki pani napisałem i do panów opiekunów także. Ale być może... podobno, że te listy nie przydadzą się na wiele, bo tam szczególną ma przewagę pan Węgielewski, powodowany interesem własnym, powtarzam... że własnym, i zrobi co zechce: mądréj głowie dość na słowie!

Cecylja pobladła znowu: ona to przeczuwała, znała już poniekąd i wiedziała — ale w wyraźném wygłoszone słowie, przedstawiło się niewątpliwém a groźném więcéj.

— Panie mój dobry! jękła przycicho.

— Mama pani nie ma woli żadnéj i kocha Ździsia, który w koło niéj skacze. A papa-ojczym — passer moi l'ésspresion: jest oszustem! opryszkiem!

Cecylja twarz w dłoniach ukryła.

— A! zawołała nagle znowu, porywając się pełna trwogi — muszę zobaczyć Stefana!... A może jego już niema w Bruxeli! pobladła i przycisnęła załamane dłonie do piersi.

— To i gdzież ma być?

— Jeżeli te listy odebrał... To, zraniony w najgłębszém, najszlachetniejszém uczuciu, zraniony na honorze... zrzekł się serca mojego... zerwał węzły wszelkie... i Bruxelę opuścił. A co stać może się daléj?...

— Jakież pani zaraz robisz przypuszczenia? Prawdziwa kobieta!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czy to był sen?

Czy to był sen? — ten gaik cichy,
Pełen woniących słodko konwalji,
Gdzie nad ruczajem lilji kielichy
Tonęły marząc śród modréj fali.

Czy to był sen? — ścieżynka mała,
Co śród zarośli wiodła na wzgórze,
I dzikie w koło pachnące róże
I owa gwiazdka co w chmurach drżała?

Czy były snem ściany téj chatki
I strojne bluszczem małe okienko,
Czy ułudzeniem błękitne kwiatki
Serdeczną twoją podane ręką?

Czy to był sen — ów powiew smutny
Budzący dźwięki śród serca strun,
Które płynęły z méj drżącéj lutni,
W postaci cichych i tęsknych dum!

Dziś jeszcze świecą ściany téj chatki,
Dziś jeszcze szumi gajiczek ten,
I dziś jak niegdyś wonieją kwiatki,
Tylko rój złudzeń minął jak sen!

.....A.

Spór językowy.

(Dokończenie.)

Pomijamy żart Szan. X. Z. co do „rang" i „stopni" samogłosek, mianowicie *a* i *e*, bo i my nie pojmujemy tych subtelności Komisji Ortografijnéj Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznauiu. Uważamy te prace jako zadanie archeologijne języka, bez żadnego wpływu na rozwój obecny mowy — jakeśmy to już powiedzieli na stronie 56 niniejszego pisma.

Uwzględniamy potrzebę autora co do pisania jakichś wyrazów nie przez 5, ale przez 50 nawet jot i bronić będziemy téj wolności odważnie i stanowczo, jak lef — pisany przez 40 *f*, — skoro udowodni że je tak naród wymawiać będzie, jak je Szan. X. Z. napisze, — bo co do ortografji — znamy to tylko zasadnicze przez Kopczyńskiego wyrzeczone prawidło: „tak się pisać powinno jak się wymawia" i odwrotnie „tak wymawiać trzeba jak piszą."

Jeżeli p. X. Z. miał na myśli pisanie: jim, jich, geografij, geografji i t. p. gdzie obok *i* stoji *j*, — to przypomnieć niech sobie raczy zasadę — orzeczoną przez Dobromysła Łazowskiego — że: „duch języka polskiego nie znosi obok siebie dwóch samogłosek." Wyjątek z téj zasady czyni wyraz: mi*au*czeć, jedyny polski w którym się pojawia tak zwany dwugłos (dyftong), a pozorowo stawają obok siebie dwie samogłoski we wyrazach złożonych, n. p. za-orać, u-osobić, przeuczony i t. p., bo wymawiają się odrębnie.

Tych dwóch podwalinowych zasad pisowni trzyma się i nasza redakcja, a jeżeli jich nie przeprowadza sta-

nowczo i konsekwentnie, to dla tego, że uwzględnia ile możności pisownię autorów, którzy wymagają często zachowywania swych pisowni, — a zresztą nie mamy alfabetu stósownego do pisania, jak proponuje Łazowski lub po nim X. Malinowski, Zagórowski i wielu innych.

Teraz co do właściwych punktów spornych:

1) Czemu historyjny, filozofijny — nie historyczny, filozoficzny?

Temu, że przy urabianiu przymiotników: doczepiają się przyrostki (w znaczeniu A. Małeckiego. Gram. str. 215) *ny, ski* i t. d. do pierwiastku wyrazowego t. j. tego, co pozostanie n. p. u jistotników, gdy od drugiego jich skłonnika (genitivus) liczby pojedyńczéj odczepiemy końcówkę. Pierwiastkami od:

Wyraz:	Pierwiastek:	Z doczepionym przyrostkiem ny, ski itd.	Po zmiękczeniu lub rozbrojeniu samogłoską:
historja	historj	historjny	histo*ryj*ny
historyk	historyk	historykny	history*cz*ny
filozof	filozof	filozofski	filozofski
filozofja	filozofj	filozofjny	filozo*fi*jny
poetyka	poetyk	poetykny	poety*cz*ny
poeta	poet	poetski	poecki
poezja	poezj	poezjny	poez*yj*ny
chemja	chemj	chemjny	chem*i*jny
chemik	chemik	chemikny	chemi*cz*ny
azja	azj	azjski	az*y*jski

Zkąd przymiot historyka — nadało się historji? — Gramatyk Małecki kładzie to urobienie i inne pomiędzy wyjątki, azatém nieprawidłowość. Czemu? bo przymiotniki historyczny, filozoficzny, chemiczny urobili nasi przodkowie z łacińskiego — ztąd *czny*; a gdyby urobili z niemieckiego, byłoby historyszny, historykerny, ale urobione z polskiego pierwiastku będzie historyjny. Dla historji n. p. kon historyjny; a fałsz historyka — historyczny. To jest czysto po polsku i znosi się wyjątki.

2) Jeżeli zamiast tz, ts pisze się zawsze *c*, n. p. dru*t* zamiast w drutzie = w drucie, gdzie *z* powinno być użyte jako znaczek miękczenia nie jako litera, zamiast chwat-ski = chwacki; czemu nie pisać zamiast ks, kz, gz, gs = x, zwłaszcza gdy się już pisało xyosze albo xoszocu (xiążęciu), (zob. Zabytki mowy polskiéj Działyńskiego), Xyegi Stharego y Nowego Zakonu (zob. Biblja Szarfenbergera 1561), Kochanowskiego Xięgi; u Lindego xiążka, xiążnica, xiążnik, xięga (str. 330, II), a więc nie przywracamy obywatelstwa głosce *x* nawet w rzeczowniku „xięga", bo je miała i ma.

Co do wyrazu kon zamiast fakt, chętnie przyznalibyśmy się do inicjatywy, choć nie pamiętamy zkąd i kto nam zwrócił uwagę na ten wyraz, który w tém znaczeniu służy za pierwiastek i za słoworód całéj rodzinie wyrazów: do*kon*ać, za*kon*, za*kon*nik, *kon*iec, wy*kon*czyć, po*kon*ać i t. d. — Niezaprzeczenie więcéj zrozumie każdy Polak ten wyraz, niż łacińsko - spolszczony fakt. A że usus tyrannus nie może być prawidłem w pismach naukowych, więc niech p. X. Z. da sobie pokój ze swoją zasadą: „bez" którą my się nie damy ustraszyć, choćbyśmy mieli walczyć „przez" pana X. Z. popartego „bez" usus tyrannus i Szan. Buszczyńskiego.

3) Pan X. Z. twierdzi, iż się uczył języka z xiążek, chyba czytając wszystko inne lecz nie gramatyki, a z tych nie żartowałby sobie z owych „cudów", o których się tylko filologom śniło. Niech nam wierzy na słowo, że wywód rańtucha p. Akielewicza jest zupełnie naukowy, i wyrazu tego w Krakowskiém, we Wielkopolsce i na Podolu nasłuchać się może, jako blizkoznacznego płachcie, chuście i t. p. Niech tylko raczy zajrzeć w nieznane mu dzieła: Bopp'a, Eichhoffa, Bournouffa, Mikloszyca, Lindego, Łazowskiego, Malinowskiego, Maxa Müllera i t. p. a znajdzie, że te cuda dla niego, są bardzo proste zasadnicze językowe przemiany. Na wykazanie jich nie mamy tu ani miejsca, ani czasu, ani obowiązku wykładania elementów gramatycznych i językowych. Drwić można z wszystkiego bez żadnéj nauki, na to wystarczy chętka i płytkość, ale tém popisywać się — widzibóg — nie warto!...

Co do formułki Akielewicza, — każdy student pozna, że nie może być formułką algebryjną, ale po prostu umówioną, bo w niéj kreska między *a* i *b* nie jest znaczkiem matematycznym znaczącym: mniéj, ale po prostu kreską w znaczeniu dowolném: przed; a — b = b — a znaczy to samo, co: „jakakolwiek litera przed drugą jakąkolwiek, ma tę samą wartość słoworodną, co ta druga przed pierwszą", n. p. często u nieuczonych słyszymy zamiast lśnić (l przed ś) dźwięk ślnić (ś przed l) i ten błąd gramatyczny — jest prawidłowością w mównictwie, a wyraża go formułka: a — b = b — a.

Co do tego, że „język kształci się niekoniecznie wtedy tylko, gdy wraca do starych błędów lub tworzy nowe dziwolągi" — to frazes ten nie ma podstawy naukowéj, bo nie ma sensu. Jeżeli jest wzięty ironijnie, traci już swą wartość naukową, — jeżeli na serjo: to łatwo udowodnić, że język każdy, nawet wracając do starych błędów albo tworząc nowe dziwolągi, ukształca się. Człowiek żaden nie zdolen utworzyć wyrazu, któryby przeszedł w mowę, a cóż dopiero w język, jeżeli społeczeństwo nie czuje jego potrzeby. Jeżeli ta się okaże — każdy dziwoląg przez niemowlę, przez żart użyty, stanie się wyrazem, n. p. wyraz: „lafirynda", albo lwowski wyraz „borba", „borbifax", warszawski „łobuz" i tyle innych, które z mody, z żartów stały się wyrazami języka, czyli mowy zkrystalizowanéj, uprzywilejowanéj politycznie, urzędowo, — mowy pisanéj, — zamarłéj częściowo, — a któréj badacze, archeologowie mowy ludzkiéj: gramatycy — wykrywają prawidła. Te prawidła przy mowach żywych zmieniają się, starzeją się, zatracają się, n. p. wyraz kon (fakt) dziś ze szkodą języka przez dziwoląg: fakt (od łacińskiego factum) zastąpiony, lub dawne: sedzely gesmy a dziś: siedzieliśmy.

Otóż zabawną jest ta sprzeczność w zdaniach pana X. Z. — bo chce kształcenia się języka, oczyszczania go od naleciałości, prawidłowych zresztą galicyjskich wyrazów, ale nie chce oczyścić go z naleciałości nieprawidłowych łacińskich, upierając się przy: historyczny, filozoficzny; drwi sobie z nauki — etymologji, a pragnie naukowego kształcenia się języka.

Z plątanin tego artykuliku wysnuwa, bynajmniéj nie logicznie, cztery punkta, mające niby reasumować jego twierdzenia.

1) Przeczy różnicom zbyt subtelnym w mowie żywéj samogłosek *a* i *e*. W tém ma słuszność, jeżeli jest mowa o kształceniu się języka, — ale nie ma słuszności gdy jest mowa o archeologji nie mowy polskiéj, — ale języka polskiego, bo kiedyś były takie odcienia wymowy w mowie polskiéj, ale zamarły — i stały się przedmiotem badań gramatycznych.

2) Myli się p. X. Z. bardzo, jeżeli sądzi, że przez wcielanie w mowę wyrazów cudzoziemskich ich „potop" szkodzi czystości języka. Sam jest za cudzoziemskim faktem, zamiast za polskim konem; a w duchu mowy polskiéj nawet i języka polskiego tak czysto po polsku jest wyrażenie: „faktem jest" jak „konem jest" — dopieroby zanieczyszczono t. j. uczyniono niejasną mowę, choć nie tyle język polski, gdyby zamiast tego powiedziano lub napisano: „factum jest", bo wyraz fakt, dziwoląg dla łacinnika, nie jest dziwolągiem już dla Polaka. Wyrażenia: „nie umiem się exprymować langażem nacjonalnym", „nie mogę się aussprechować faterlandzką cungą" co do zwrotu, co do ducha — są po polsku powiedziane; tego ani Francuz, ani Niemiec nie zrozumie ze słownikiem i gramatyką w ręku, — ale „jestem w stanie", „to mi dobrze robi", „nie potrzebuję

nic“, „on jest bardzo dobrze“ — nie jest po polsku — i razi polskość mowy tyle, ila zrazi Niemca dosłowne tłomaczenie: Wielmożny Mości dobrodzieju na niemieckie: „Viel könnender Sire Gutmacher.“

Czystość języka nie polega na samych wyrazach, ale 1) na właściwém ich użyciu, 2) na nadaniu jim formy duchowi polskiemu odpowiedniéj, i 3) na wpleceniu ich w zwrot polski. Który wyraz jest czysto polski — tego nie łatwo dowieść, bo dla nieznaweów — „wańtuch“, „rańtuch“ pozorowo brzmią obco; dla znawców są wyrazami: indo-europejskiemi w ogóle, — a w szczególe: słowiańsko-litewskiemi wyrazami blizkoznacznemi, pochodzącemi od dwóch słoworodów: *r* (aryjskie) i *tk* albo *tch* od dwóch wyrazów zatraconych, a z których powstały pochodne wyrazy litewski: rentas — a polskie: tkanka. Dla uczonych w mównictwie: teoretycznie i praktycznie nie z nauki, ale z pilnego słuchania mowy ludu w całéj Polsce — to są — „cuda filologów“, ale dla uczonych praktycznie i teoretycznie z nauk „pilnie przysłuchujących się“ profesorom i uczonym, — uczoność p. X. Z. — jest niedouczonością.

Redakcja.

ROZMAITOŚCI.

— **Medal na cześć Matejki.** Według „Gazety Narodowéj“ Nr. 102 b. r. pismo ze Stanisławowa Hasło: „skrytykowało w artykule bardzo dobrze napisanym, niczém nie uzasadnioną (?!) odezwę, pod którą p. Wojciech Dzieduszycki i dwunastu innych panów, — a wymierzoną przeciwko biciu medalu na cześć Matejce... My (Gaz. Narod.) spodziewamy się, że przecież Komitet nie da się zbić z tropu agitacji podjętéj w imię oskarżeń (? jakich?) ubliżających narodowi (!?), a popartéj gorliwie przez najniedorzeczniéj napisane artykuły „Tygodnika Wielkopolskiego.“

Przypomniemy Szan. Redakcji „Gazety Narodowéj“ — że co do pojęć u „ubliżeniu narodowi“ już straciła i tracić będzie wszelkie prawo: ażeby dawać komukolwiekbądź nauki w téj materji, dopóki nie zaniecha nieprzyzwojitości w polemice. Owszém cieszy nas, żeśmy bardzo do rzeczy pisali, skoro to jątrzy tych, co nie pamiętają na to, że szarlatanerji tamę kłaść się należy, bo ona wszędzie i zawsze, — a mianowicie w kraju tak ubogim jak nasz w zasoby moralne i materjalne, pragnie ssać soki daleko pożyteczniejsze na inne rzeczy, — a choćby i na samą sztukę. — Toć tylko nie na Matejkę, ale i na innych artystów baczyć należy, a ci nie mają gdzie zbywać swych prac. Że nawiasem tu wspomnimy o Barączu (zob. Gaz. Lwowską Nr. 99).

Gdyby sam krakowski mistrz w kolorycie miał ten szlachetniejszy, wyższy polot ducha którego mu odmawiamy, byłby wręcz wystąpił przeciw owacjom, których wartość moralna dziś już stracona, — bo cześć jak każda cnota nie cierpi agitacji przygotowawczych do hołdów, owszem śmiesznymi czyni tych, którzy na takie hołdy naprzód wiadome pozwalają, — a jeszcze więcéj takich, którzy ich wymagają, a najwięcéj tych, którzy je wykonują.

Redakcja.

* * *

— **Gazeta Polska** w Chicago, 50, Bradley-Street, West-Chicago, Ill. północnych Stanach Zjednoczonych Ameryki podaje w jednym z swych ostatnich numerów ciekawe szczegóły o utworzonéj tamże „konnéj gwardji narodowéj polskiéj.“ Wiadomém jest, że taką gwardję konną tworzą własnym kosztem uekwipowani obywatele. Liczba tedy naszych rodaków bogatych, mogących sobie konie własne trzymać, znaczną być musi — gdy tworzy gwardję.

W odcinku téj gazety drukują lubionéj powieściopisarki naszéj Pauliny z L. Wilkońskiéj: „Gałązkę cierniową.“

* * *

— **Jerzykiewicz Bolesław,** nauczyciel etatowy przy szkole realnéj w Poznaniu, wydał: „Botanikę dla niższych klas gimnazjalnych i realnych“ z 140 drzeworytami. Poznań, 1874. Nakładem J. K. Żupańskiego. 8o, str. 228.

Bardzo ozdobne to wydanie nie ustępuje co do typografji, papieru i rysunków w niczém tyle wykwintnym wydaniom niemieckim. Co do jéj wewnętrznéj wartości obszerniéj późniéj pomówimy, teraz powiemy tylko, że jest bardzo metodyjnie i nowym planem tak ułożona, że nietylko służyć może jako kompendjum dla uczących się botaniki, — ale zarazem i jako podręczny poradnik przy zbieraniu i oznaczaniu roślinnych nazw. Mianowicie sposób porównawczy roślin — bardzo stósownie i umiejętnie przeprowadzony — oszczędza wiele mozołu uczącym się, — przy rozstrzyganiu wątpliwości, gdy chodzi o oznaczenie nazwy. Jako xiążkę szkolną — z powierzchownego już przeglądu i porównania z botaniką Dr. Pohornego — przerobioną na polskie przez Dr. Rzepeckiego w tymże roku w Pradze czeskiéj drukowaną, — śmiało zalecić ją możemy, — jako więcéj elementarną i właściwszą dla początkujących, gdy ta ostatnia ma swe wielkie zalety jako kurs wyższy, — dla bieglejszych. To studjum porównawcze podamy naszym czytelnikom, gdy więcéj będzie miejsca w którym z następnych numerów.

* * *

— **I. Bittner** przełożył na czeski język „Jedynaczkę“ hr. Fredry syna, — i odegrano ją w Pradze dnia 22go kwietnia z wielkiém powodzeniem.

* * *

— W Bergu, mieście norwegskim, wystawiono cały kościół z papieru, t. j. ściany, filary, kopuła, drzwi, ołtarze i t. d., mogący pomieścić w sobie 1000 ludzi.

* * *

— **Nawratil Arnolf** i **Sokołowski Antoni** wydali „Zarysu ogólnéj chemji, opracowanéj podług Roscoe'go“ własnym nakładem — Kraków i Lwów, 1874, 8o, od 281 do 506 str. — część trzecią t. j. „chemję organiczną czyli chemję połączeń węgla.“

Wspominamy tylko o tém dziele jako o nowości, bo do przejrzenia i ocenienia onegoż — za późno nas doszło.

Odpowiedzialny redaktor Wilhelm Pohl. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego, w księgarni K. Reyznera i u M. Leitgebera.